



Lis – zaklinacz deszczu

To było upalne lato! Liście na gałęziach, trawa na łąkach wszystko powiędło i pożółkło, czekając nadaremnie na deszcz. Nie chciał przyjść i ludzie martwili się, że złe będą plony, że nie ma gdzie paść koni ani owiec. Aż pewnego dnia zjawił się we wsi stary dziad, co tak się znał na zamawianiu pogody jak koń na fruwaniu. Ale że był stary i mrucał do siebie rozmaite czarodziejskie zaklęcia, ludzie błagali go, aby sprowadził deszcz. – Dobrze – zgodził się dziad. – Ale dacie mi za to sto kilo gruszek. Bo dziad był bardzo łasy na gruszki. Zaprowadzili go ludzie w pole, żeby wziął się jak najszybciej do ściągania deszczu. Dziad usiadł sobie w ocienionym miejscu, poskrobał się w głowę i zamruczał: Jek – szmek, trin – gin, szow – bow, efta – cefta, ochto – mochto! Wszyscy ludzie przeżegnali się nabożnie, a dziad kazał im wracać do domów. Kiedy odeszli, rzekł sam do siebie: Jakże ja im sprowadzę ten deszcz? Choćbym mrucał tydzień cały, to i tak ani jednej kropelki nie wycisnąłbym z czystego nieba. Boję się, że nie tylko nie dostanę ani jednej ulęgałki, ale jeszcze mnie ludzie w dodatku kijami wytłuką...” Spojrzał dziad w lewo, spojrzął w prawo, przed siebie i za siebie, ale nie znalazł na niebie ani kawałeczka chmurki. W pobliżu siedział lis w swojej kryjówce i czatował na jakąś zdobycz. Słyszał, co dziad powiedział, rzekł więc do siebie: „Poczekaj no, dziadu! Już ja ci ściągnę taki deszcz, że ci ucho ogłuchnie, gęba oniemieje, a oko zbieleje!” Wyskoczył z kryjówki, pomerdał kitą i rzekł do dziada: – Kłaniam się uniżenie wielmożnemu panu! Słyszałem, że prosisz o deszcz. Chętnie w tym dopomogę, jako że znam świetnie sztukę sprowadzania deszczu. Musisz mi tylko przyrzec, że nikomu nie piśniesz o tym ani słówka. Przyjdę do ciebie wieczorem. Przygotuj dla mnie tłustą, pieczoną gęś, a ściągnę deszcz jeszcze tej nocy. Dziad z radością zgodził się na to i w te pędy pobiegł do wsi. Tam oznajmił wszystkim ludziom: – Dziś w nocy będzie padać! Ja sprowadzę deszcz! Szykujcie sto kilo gruszek! Poszedł dziad do karczmy, kazał upiec tłustą gęś i nakryć do stołu. Wieczorem przyszedł lis i najadł się do syta, a potem wypił jeszcze dzban piwa. – No, a teraz, kochany gościu – rzekł dziad – zrób coś, żeby zaczęło padać, bo ludzie czekają na deszcz. –

Zaraz, wielmożny panie! – powiedział lis. – Wyjdę teraz, a kiedy cię zawołam, wybiegnij na dwór. Poszedł lis na podwórze i znalazł tam stojącą u drzwi drabinę i beczkę piwa. Zanurzył swój puszysty ogon w piwie, włożył na drabinę i zawołał: Chodź już, wielmożny panie, i popatrz tylko, jaki deszcz! Dziad wybiegł przed próg, a lis zdzielił go z całej siły mokrym ogonem między oczy, aż zamroczył dziada. Uciekł więc z powrotem do izby, a lis za nim. – Brrr! – otrząsnął się lis. – To dopiero psia pogoda! Futro mi całkiem przemokło! Spójrz no! I podsunął dziadowi pod nos swoją mokrą kitę. – Tak, tak! – pisnął dziad. – Niezła pogoda! Właśnie o to mi chodziło. Wytrzeł dziad mokrą twarz i usiadł przy stole. Znowu popili sobie trochę, wypalili fajeczki i dziad rzekł: – Nie rozumiem, jak ludzie mogą jeszcze spać! Powinni zbudzić się z radości, że się deszczu doczekali! Ale zaraz! Przecież nie było grzmotów! To dlatego śpią tak spokojnie! Lis odłożył fajkę i rzekł: – Prawda! Zapomniałem o grzmocie! Dobrze, za chwilę sprowadzę grzmot. Wyjdź, jak cię zawołam! Wyszedł lis za drzwi, wziął kij, włożył na drabinę i zawołał dziada. A gdy ten wybiegł z karczmy, lis tak głośno grzmotnął kijem w drzwi, tuż koło ucha dziada, że go całkiem ogłuszył. Dziad do karczmy, a lis za nim. – Słyszałeś grzmot? – krzyknął do ucha dziadowi. – Tak – odrzekł dziad. – A jakże! Słyszałem tak dobrze, że teraz ledwo słyszę ciebie! Usiedli obaj w izbie i znowu popijali i palili swoje fajeczki. Po chwili odezwał się dziad: – A ludzie we wsi śpią, jak spali! Ale przecież nie było błyskawicy! Błyskawica obudziłaby ich na pewno! – Ajajaj! – zawołał lis. – Jestem już stary i zapominalski: zagapiłem się i nie pamiętałem o błyskawicy. Ale to jeszcze nic straconego. Wyjdź, jak cię zawołam! Wyszedł lis na dwór, włożył na drabinę i zawołał dziada, a gdy ten się zjawił, lis palnął go ogonem po głowie tak mocno, że ujrzał dziad błyskawicę, jakiej jeszcze nigdy nie widział! Uciekł czym prędzej z powrotem do karczmy, wykrzykując: – A to dopiero błyskawica! Jeszcze mi w oczach świeci! – Ach, biedaku – zaczął lamentować lis. – Piorun cię trafił! Połóż się prędko, a ja pobiegnę po masło, która cię wyleczy. To rzekłszy, lis wybiegł, a dziad czekał godzinę, czekał dwie, trzy, cztery. Z pewnością czekałby do dziś bez skutku, bo lis nie miał zamiaru wracać. Ale noc się skończyła i dziad wołał się wynieść ze wsi cichaczem, zanim ludzie się pobudzą. Wiedział bowiem, że czeka go nie sto kilo gruszek, ale sto kijów.